PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV POZNAŃ GRUDZIEŃ 1934 NR. 12 (39)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

„WIEDZA" O WIELKOPOLSCE

Jak Francuzi nie znają wogóle geografji, tak Polacy nie znają swej ziemi. Utarta to opinja. Tym razem chodzi o Wielkopolskę. Zobaczmy tylko jak wyglądają wielkopolskie wioski i miasteczka, rzeczy i ludzie, w niektórych publikacjach polskich. Najpierw brzmienie i odmiana nazw geograficznych, co chyba wchodzi w zakres wiedzy geograficznej.

Roi się od przekręceń nazw miejscowości np. u G. Korbuta, autora dobrej zresztą „Literatury polskiej od początku do wojny światowej" (tom IV wyszedł w r. 1931, wydanie drugie). Garść przykładów: A. Kalina urodził się *w Krempem* pod Ostrowem, winno być *w Krępie* od ta Krępa. *Krempego* (dwa błędy w jednem słowie) w Wielkopolsce niema. Nehring pochodzi z *Klecka*(!). Pomieszano tu Kleck radziwiłłowski koło Nieświeża z naszem *Kłeckiem*. Tu pobróździł zapewne Słownik Geograficzny (podający też *Klecko*), ale, że kiedyś pisano np. Warszewa i Warszowa, to nas nie upoważnia do używania archaicznej formy i dziś. Sądzę, że Słownik Geograficzny w tym wypadku informuje mylnie. Ostatecznie tę pomyłkę Korbutowi darujemy, ale nie darujemy innych. Mierzyński uczył się w gimnazjum w *Ostrowie*, nie w *Ostrowiu*, bo ten Ostrów, nie to Ostrowie! Przyborowski pochodzi z Gałężewa nie *Gałęzowa*, Bronikowski z Golejewka nie *Golejewska*, Moraczewska z Zielątkowa nie *Zieląckowa*, Józef Łukaszewicz urodził się w Krąplewie, nie w *Krąplewiu* itd.

Nie dziwmy się jednak filologowi, skoro niewiele lepiej zna Wielkopolskę „Ziemia", miesięcznik krajoznawczy! Według niej poeta Kasper Miaskowski spoczywa w Wielkich



„Zima" *Dziurzyńska-Rosińska (ol.)*
(z wyst. „Plastyki" Wlkp.)

Strachach (sic!) zamiast Wielkich Strzelcach a z *Soli* (!) pochodził działacz społeczny Gustaw *Ostawrowski!!* Chodzi o *Potworowskiego* z *Goli*.

Teraz inne kwiatki. W poleconym dla młodzieży przewodniku turystycznym po Wielkopolsce czytamy ku miłemu zdziwieniu, że w Gnieźnie kursują na ulicach *tramwaje* (!) obok zwykłych pojazdów i aut, a *słupy tramwajowe* (!) są przystrojone kwiatami. Widział to wszystko na własne oczy Wacław Świątkowski z Warszawy, autor kilku dużych książek geograficznych.

A wiesz, turysto, gdzie leży Leszno? A jakże, „na północny-zachód od Poznania" wyrokuje Encykl. Powszechna Ultima Thule, a więc gdzieś koło Wronek czy Sierakowa.

Z radością biorę do ręki każdą warszawską publikację o Wielkopolsce, bo dużo nowego można się z nich nauczyć. „Końcową stacją kolei Witkowo—Powidz jest Powidz". Oczywiście, jasne jak słońce. Gdy jadę do Warszawy, końcową stacją jest Warszawa, co nie znaczy, że na niej świat się kończy. I w Powidzu tor do jeziora nie wpadł, lecz prowadzi jeszcze od wielu lat do Anastazewa.

W Lubiniu pod Kościanem według *Długosza* ma być pochowany Laskonogi, pisze tenże ministerjalny przewodnik kolejowy, opracowany przez dr. Orłowicza. Ależ tak właśnie Długosz nie twierdzi.

Grobowiec Bernarda z Wąbrzeźna znajduje się w środkowej nawie prawie pod chórem (na podobieństwo gnieźnieńskie) a nie *„obok ołtarza"*.

We Wrześni, która leży na *Kujawach* w wyobraźni redaktora Tygodnika Ilustrowanego jest pałac książąt Ponińskich, a historyczny budynek szkoły ludowej stoi „przy drodze do dworca kolejowego".

W takim razie każda droga prowadzi do dworca! Dwa km od miasta wieś *Sokołów*(!) z obeliskiem pamiątkowym. Pod Środą leży wieś Giecz, która w początkach XI. wieku była *dużem*(!) *miastem* (!). I tak dalej, chodzi tylko o próbki znajomości terenu.

Przepraszam p. Strauchową z Poznania, że zarzuciłem jej zbyt drobiazgowe studja biograficzne nad Berwińskim. Okazały się te badania bardzo konieczne, encyklopedja bowiem Gutenberga uważa tego poetę za *Niemca!*

W obu encyklopedjach (Gutenberga i Ultima Thule) jest ks. Kozierowski młodszy o 10 lat. Cieszymy się z tego, ale gniewają nas inne niedokładne dane o uczonym winnogórskim. Nowsza encyklopedja, z r. 1934, powinna zawierać także wiadomości nowsze.

Gdzie leży Bydgoszcz? Według warszawskiego czasopisma ilustrowanego pt. „*Szlakiem Polski*" (pismo poświęcone krajoznawstwu i turystyce!!). Bydgoszcz leży na Pomorzu, a *w głębi* Pomorza leży Inowrocław! Dane o szkołach bydgoskich są w tem piśmie (zeszyt sierpniowy) zupełnie błędne.

Dyr. Wierczyński umieścił wieś *Dochanowo* w powiecie wągrowieckim, a *Brzyskorzystew* w szubińskim, gdy naprawdę obie wsie leżą w powiecie żnińskim (por. Wybór tekstów starop. str. 5).

Niemniej niedostatecznie zna Wielkopolskę znakomity pisarz W. Sieroszewski. Wystarczy przeczytać jego przemówienie, czcigodne zresztą w duchu, wygłoszone na otwarciu prac Zrzesz. Związków Artystycznych w Poznaniu. Pisarz przemawiał w dodatku jako prezes Akademji Literatury a więc oficjalnie, kiedy każde słowo nabiera ważności. Według niego *Czacki,* choć działa w innej dzielnicy rozdartej ojczyzny, pochodzi z Wielkopolski. Zestawienie tego nazwiska ze Staszicem, Sniadeckimi i Bogusławskim niedwuznacznie mówi o kogo tu chodzi. Zresztą i Czacki Tadeusz i Czacki Włodzimierz urodzili się w Porycku, w pow. włodzimierskim, i z Wielkopolską wogóle nie byli związani. Inna sprawa, że Edw. Raczyński najlepiej uczcił Tad. Czackiego wydaniem w 30 lat po śmierci jego dzieł (w Poznaniu, trzy tomy).

„Znamienną również jest rzeczą, że w Wielkopolsce urodził się mazurek Wybickiego, który zczasem stał się hymnem narodowym" — prawił w Poznaniu Sieroszewski.

Jeśli to komplement, to niefortunny, bo każdy uczeń w szkole musi wiedzieć, że mazurek: „Jeszcze Polska nie zginęła" powstał we Włoszech, w Reggio, a Wybicki urodził się w Bendominie pod Gdańskiem!

„W przeszłości świecą nauce i poezji (scil. wielkopolskiej) takie nazwiska jak satyryk Opaliński, król Leszczyński, biskup *Krasicki*"!!

Działalnością ani na polu nauki ani poezji nie był Krasicki związany z Wielkopolską. Jako kanonik poznański, a później arcybiskup gnieźnieński wcale w Wielkopolsce nawet nie siedział. Mieszkał w Skierniewicach i w Łowiczu, zmarł w Berlinie, spoczął w Gnieźnie z „urzędu" i koniec na tem. Działał w warszawskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk, a jego czasopismo łowickie tylko drukował Poznań.

Znakomity muzyk Jan Wański nie jest chlubą ani „nauki" ani „poezji" wielkolskiej. Pomijamy historyczne nieścisłości we wstępie mowy Sieroszewskiego. Jeśli Dziennik Poznański ją opublikował, przyczynił się tylko do rozpowszechnienia błędów prezesa Akademji Literatury, który w swym zapale wychwalania Wielkopolski posunął się zadaleko. Redaktor ślubował in verbo magistri, co często się zdarza.

Dowody niewystarczającej wiedzy o Wielkopolsce i Wielkopolanach moglibyśmy mnożyć, ale niechaj powyższe wystarczą, bo szkoda nam czasu i miejsca. Naprawdę jeszcze się wzajemnie mało znamy. Pod koniec z naciskiem podkreślamy, że żywimy pełen szacunek do osób i publikacyj wyżej wzmiankowanych, że dalecy jesteśmy od złośliwości celowych, gdyż chodzi o sprawę poważną, mianowicie o interes nauki i kultury polskiej. Uwagi słuszne i bezinteresowne, choćby niemiłe, są zawsze na miejscu.

A. S.

„SREBRNE GODY"

ZAPOMNIANY NIEDOKOŃCZONY DRAMAT S. PRZYBYSZEWSKIEGO

Uwadze bibljografów twórczości autora „Nad morzem" uszła publikacja pomieszczona w „Księdze jubileuszowej Kurjera Porannego 1877 — 1902, wydanej z powodu 25-lecia pisma pod redakcją Feliksa Fryzego przy współpracownictwie 112 osób". Warszawa 1903, str. 278—280. Jest to scena pierwsza dramatu p. t. „Srebrne gody".

W listach S. Przybyszewskiego z okresu pierwszego warszawskiego możemy śledzić dokładnie dzieje tego fragmentu, który mimo wielu wysiłków nie miał zostać nigdy rozbudowany w pełne dzieło. Pomysł powstał prawdopodobnie w czerwcu 1902 w czasie pobytu S. Przybyszewskiego w Płocku u rodziców Zdzisława Przybyszewskiego, studenta politechniki warszawskiej. Ponieważ to był jednak okres najgorętszej pracy nad „Matką", a nieco później, jesienią, nad „Sniegiem", rzecz utknęła odrazu. W r. 1903 przyszedł wyjazd do Petersburga z trupą Bolesławskiego, tournée po Rosji i inne zajęcia. Pod dniem 12 maja pisze Jadwiga Przybyszewska do Zdzisława Przybyszewskiego, który tym dramatem specjalnie zdaje się był zainteresowany: „Stach trochę pracuje, ale tylko artykuły, tłomaczenia, — Srebrne Gody jakoś nie mogą się porodzić".

Jednakże w korespondencji z p. Stefanem Dembym, podówczas wydawcą i księgarzem, obecnie dyr. Biblj. Narodowej w Warszawie, „Srebrne Gody" pojawiają się raz wraz jako już prawie ukończone, jako rzecz, na którą można z całą pewnością liczyć. Brał też za nią poeta nie raz zaliczkę. W liście z dn. 23 października 1903 czytamy: „Drogi Panie, Najpóźniej za dwa tygodnie będą Srebrne Gody gotowe, bo pracuję teraz całą parą — wreszcie! Ułatw mi Pan pracę i przyślij mi Pan przez oddawczynię tego listu choć rubla na dzisiejszy dzień, bo jestem bez jednej kopiejki. Serdeczny uścisk dłoni Stanisław Przybyszewski".

Tymczasem jeszcze 23 marca roku następnego, 1904, a więc akurat w pięć miesięcy po tym radosnym komunikacie, dramat nie posunął się naprzód. Mówi o tem list żony do Zdzisława Przybyszewskiego:

„...Stach jest teraz względnie zdrowszy jak przedtem i pije umiarkowanie. Wziął się też w ostatnich dniach do „Srebrnych Godów", wczoraj pisałam mu do późna w nocy w łóżku, bo już leżałam jak mu strzeliło dyktować mi. Dotychczas bardzo ładne..."

Do końca dramat nie doszedł nigdy. Wyjazd do Odessy, rewolucja w Warszawie, praca nad „Odwieczną baśnią", sprzedawaną na partje jako dramat „Król", nad „Ślubami" — usunęły „Srebne Gody" w cień. Autor zapomniał o nich, urywek w Księdze jest jedynym, jak dotąd, śladem próby. Zasługuje, bez wątpienia, na bliższe poznanie.

Stanisław Helsztyński.

SCENA PIERWSZA Z DRAMATU
„SREBRNE GODY"

Osoby:

Jan
Dorota, jego żona
Staruszka, matka Jana.

Scena przedstawia dworek szlachecki. W głębi na prawo altana, w której siedzi stara matka Jana. Na przód sceny wchodzi Jan, prowadząc pod ramię Dorotę i prowadzi ją wokół wielkiego klombu, wskazując ręką na piękne drzewo migdałowe obsypane kwieciem.

Jan (stoi chwilę zamyślony). Patrz, Dosiu... Pamiętasz?

Dorota. Pamiętam, pamiętam.

Jan. Dwadzieścia pięć lat temu. Dwadzieścia pięć lat.

Dorota (jak echo). Dwadzieścia pięć lat... Sama je zasadziłam.

Jan. W dzień potem, gdyś została moją żoną i panią tego domu.

Dorota. Jak to dawno temu, jak dawno (obchodzą znowu w milczeniu klomb dookoła).

Dorota. Teraz już jestem zmęczona.

WITOLD RYCHTER:

BEZ TYTUŁU

Zabłąkałem się kiedyś do kościoła mych marzeń.
Opuszczone ołtarze
milczą szeregiem świec niezapalanych...
Zaglądałem w twarze myśli zapomnianych,
odkurzałem obrazy,
przed którymi się... dawno!... modliłem...
Jedne wstały w pamięci, jakby dopiero wczoraj żyły,
a innych, co się dawno prześniły,
nie poznawałem.
I, gdy obszedłem już wszystkie ołtarze,
spojrzałem na presbyterium.
Było puste. Rozumiem! Pochyliłem czoło:
z opuszczonego kościoła uleciał Duch...

ZASADY SZACHOWE

Takie to już są dziwne zasady szachowe:
Kiedy jest pod obroną laufra, albo wieży,
Nieraz pionek zwyczajny szachuje królowę...
Takie to już są dziwne zasady szachowe.

Lecz, gdy pionek wzdłuż pole bitewne przemierzy,
Wnet koroną królowej wieńczy hardą głowę.
Zapomina, co winien laufrowi i wieży,
Gdy pionek całe pole bitewne przemierzy.

Nie pomni już o świętych zasadach przymierzy,
Gdy się przed nim otworzą możliwości nowe.
Dąży li w tamtą stronę, gdzie zwycięstwo leży.

Aby sięgnąć po mata wieńce laurowe
Nieraz laufra poświęca, pozbywa się wieży:
Takie to już są dziwne zasady szachowe...

Jan. No, to chodź, siądziemy w altanie.

Dorota. O, nie, nie! Tam matka siedzi. Taki mam dzisiaj zabobonny strach patrzeć na nią. Całą moją przyszłość widzę: starcze niedołęstwo, osamotnienie i tę całą tępą bezmyślną drzemkę, co śmierć poprzedza... Lękam się śmierci.

Jan. Tak, tak. Śmierć przed nami, śmierć. Już nie mamy się czegoś spodziewać, jakoś się nam życie nie składało, a dziś po dwudziestu pięciu latach możemy tylko patrzeć na czarny, jałowy obieg jego, cmentarze, zawody, troski i cierpienia, cierpienia i troski bezustanne. Niewesołe, niewesołe te srebrne gody nasze.

Dorota (zamyślona). To całe życie (Nagle) — Jasiu czyś ty się kiedy nad tem zastanawiał, dlaczego ludzie tak strasznie się męczą? Całe życie, jeden łańcuch udręczeń i męczarni. A wiesz ty, jaką męczarnią, jest życie kobiety? Słuchaj, dziś nie chcę smutnych wspomnień poruszać, ale boleśniejsze nad męki porodu, to te męki, jakie kobieta w duszy i sercu przeżywa.

Jan. Cicho, Dosiu, cicho. To już takie dalekie.

Dorota (nie słysząc). Ta męka, och, to straszna męka... Przecież ja wiem, żeś Ty mnie nadewszystko kochał... Janie... (patrzą na siebie chwilę).

Jan (z uczuciem głębokiej rozpaczy). Cicho, cicho. Nic dziś o tem nie mów. Kochałem cię, jak kocham. Mam jedną czarną plamę na mojem życiu, ale o tem sza, poco rozdzierać dawne straszne rany.

Dorota (zamyślona patrzy na drzewo migdałowe). Pamiętam naszą noc ślubną. Pamiętasz te nasze święte gody: zaślubiny wiosny z mocą i siłą.

Jan. Pamiętam, choć to takie dalekie, dalekie.

Dorota. A nazajutrz rano ty taki dumny, szczęśliwy i tak pełen siły, ja posłuszna, boś ty mnie, nieokiełznane, dzikie zwierze pokonać umiał. Ja szczęśliwa twojem szczęściem i dumna twoją dumą... Pamiętasz? Och tu, to migdałowe drzewo wtedy, wtedy, dziś przed dwudziestu pięciu laty zasadziliśmy, biedną chorą płonkę; w rok potem szczęściem wzrosły nasze serca, kiedy ten biedny cieniutki pień jął nabierać życia, wzniósł się, osadzał w ziemi na coraz mocniejszych korzeniach (tajemniczo) gdy nasz syn przyszedł na świat, rozkwitł tem karminowem cudownem kwieciem.

Jan. Nic nie mów o synu, to nasze srebrne gody. (Nagle patrzy przerażony w stronę altany, w której zniedołężniała matka skostniałemi palcami uderza ustawicznie w stół). Patrz, widzisz, jak ona wybija sekundy, godziny, lata, lat setki na zegarze wieczności? Widzisz to. Teraz, teraz niezadługo nasza godzina wybije. (Tulą się do siebie tem samem wrażeniem porwani i patrzą na matkę, która w mieszanym jednostajnym rytmie uderza palcami w marmurową płytę stolika?

Dorota. Widzisz?

Jan. (Wraca do równowagi, idąc ogrodem mówi) Dosiu, i mnie w dzisiejszym dniu uprzytomniła się ta męka życia właśnie, dziś, po tem całem takich krwawych wysiłków pełnem życiu, to straszne pytanie naco i poco? Dławi mi duszę to straszne pytanie: jaki cel i jaki początek? Nie mówmy o tem. Wiedz, pamiętasz Kochanowskiego? „A ktoby chciał sumiennie wszystkiego dochodzić, zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić". Już więcej o tem nie mówmy.

Dorota. Ach, te gody wiosny, te wielkie piękne, gody, które nasze życie rozpoczęły. Te gody, które we mnie dziecku stworzyły kobietę, kobietę, łono, co w tak strasznych mękach łączy jedno ogniwo z drugiem wielkiego twórczego łańcucha waszej wieczności... (Smieje się po cichu). I te nasze srebrne gody dzisiejsze. Patrz, Jasiu, to drzewo migdałowe, na tym gładkim gibkiem, delikatną niegdyś skórą obciągniętym pniu, — dziś zmarszczki, ach, jakie zmarszczki. Patrz, jakie narośle, a tu rak gotowy, a łono, staje się niepłodne (znowu z lękiem zwraca się ku matce). A patrz, patrz na nią. Poorana szatańskim pługiem, który wiosenną ziemię rozrodczą męką w bruzdy porozrywał. Jasiu, patrz na nią. Tyś jest jej synem. Tyś wyjałowił tę ziemię, a teraz błagam cię pomnij o naszym synu, nie przeklinaj i nie niszcz tego młodego życia. (Chór dziewcząt za sceną: Plon niesiemy, plon w gospodarza dom. Chór parobków: Drała, drała, drała, ziemia się rozwarła. Plon niesiemy, plon, w gospodarza dom, oj bogaty plon).

Jan (zamyślony) Hej, bogaty plon...

— — — — — — — — —

P.S. Daję tylko jedną scenę z mego dramatu, nie mogąc na razie nic innego, coby było godnem pomieszczenia w pamiątkowej książce 25 jubileusza Kurjera Porannego. Sądzę jednak, że dając tę jedną scenę, która jest zasadniczym akordem całego dramatu, wyrażam najlepiej, jak pismo wysoko cenię.

Stanisław Przybyszewski.

Barbara Buderawska:

SERCE

Złocisty, mały ptak,
co nie chce się uspokoić,
lata lekko, leciutko —
wśród pustych pokoi
i szuka — i stuka —
i dzióbkiem o szybę puka
i kwili zwyczajnie, jak ptak:
:„na świat mnie puśćcie!... na świat!"...

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

BIEDRONKA

(Z CYKLU „LEGENDY WIELKOPOLSKIE")

W białym, wysmukłym, o złocistych kolumnach, pałacyku liljowego kwiecia, pewnego cudnego poranka spała snem smacznym — biedronka.

Jeszcze szafranem barwiona jutrzenka nie rozpłomieniła nieba na wschodniej jego stronie,—jeszcze złociste promienie słońca nie osuszyły perłowych łezek płaczących na zimnie, w nocy, liljowych kielichów,—jeszcze ptaszęta nie rozpoczynały swego porannego hejnału na cześć i powitanie zmartwychwstającego słońca, — jeszcze wszystkie muszki spały snem głębokim, — więc spała na dnie liljowego kwiecia także biedronka.

Leżała bez ruchu, ładna, szeroka i gruba, była większa od innych swych towarzyszek, bo była królową biedronek. Nosiła na sobie czerwono ceglasty pancerzyk o siedmiu kropkach, strzegący przed wodą i wilgocią jej suche, błonkowe skrzydełka, pancerzyk, który miał wygląd malutkiej, pomidorowej, żółwiej skorupy.

Kiedy tak spała sobie smacznie, nie myśląc o niczem, tylko o tem byle się wyspać, — nagle zorze tak bardzo promienne, jak mała dziewuszka. kiedy się obudzi, — weszły na niebieski horyzont i jasny, złocisty pęk słońca wystrzelił w górę na niebie.

W jednej chwili promienie słoneczne obcałowały rosą błyszczące kwiaty, w okamigu rozbudziły świat cały, ptaszki zaczęły śpiewać, zaspane muszki muskać gierkami swe skrzydełka, prostując je do lotu, weselny krzyk i radosna wrzawa napełniła powietrze.

Obudziła się też i na to pełne radości larum biedronka. Wyprostowała nóżki, strzepnęła niemi swe małe wąsiki i hyżo zaczęła się wspinać po wysokiej złotej kolumience liljowego pręcika, aż się wydostała na sam wierzch kwiatu.

U góry ciepło słońca owładnęło nią dobroczynnie i ogrzało skostniałą na rosie, od zimna. Z ochotą wielką uniosła najpierw swe chitynowe, czerwone pokrywki, potem rozpięła na powietrzu brunatne. długie, błonkowe skrzydełka i — fruknęła w górę, unosząc się wysoko.

Jak mały samolocik płynęła nad ogrodem, dojrzewającemi jesienią sadami, — na pola szerokie, dalekie...

Kiedy trud lotu ją zmęczył i głód jej zaczął dokuczać, opadała na woniejące kwiaty, zaglądała do wnętrza kielichów i karmiła się słodkim nektarem, jaki rodzą zioła.

Przez cały dzień błąkała się rozradowana słońcem, kwiatami, ciepłem oraz woniami bijącemi z łąk, i dopiero kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, zatęskniła za domem swym rodzinnym, za macierzystym zamkiem, którym był dla niej kwiat lilji snieżystej.

Unosiła się znowu w powietrzu jak niedostrzegalna mała kuleczka, mijała inne owady, wracające z łowów do domowych pieleszy. Słyszała liczne sygnały ostrzegawcze rozmaitych much, muszek, pszczół, trzmieli i bąków, więc potentatom schodziła zawsze z powietrznych szlaków, ale zato muchom i komarom z brawurą zajeżdżała drogę. Sama sygnalizowała swój przelot cieniuteńkim brzęczkiem w tonacji a-moll, i — nie pytając o przejazd, waliła poprzez kupę komarów wieszających się i rojących w powietrzu, przewracała niejednego fruwającego młodzieńca, który w sposób godny zaślepienia oddawał się igrze miłosnej i — szybowała dalej. Niech wiedzą te chudopachołki, że leci królowa biedronek!

Nagle powietrze dotąd tak czyste i świeże zaczęło pachnieć dymem, od którego możnaby się było udusić. Królowa biedronek chciała się wzbić wyżej, by wyminąć gryzące kłęby, ale nowa fala tego gęstego jak mgła nocna dymu ją ogarnęła nagle. Uczuła, że jej się zaczyna w główce kręcić i pomimo, że była królową, została skazana na przymusowe lądowanie. Spłynęła na osłabionych skrzydełkach ku ziemi i zlądowała na czemś miękkiem, o czem nie mogła wiedzieć co to jest.

Była to czapka jednego z pastuszków, którzy paśli krowy na ścierniskach, a dla zabicia czasu i upieczenia sobie „gajdoków" wygrzebanych sąsiadowi z radlonki, — zrobili sobie wielką gorę. Nanosili całe kupy ściernia, łęt i słomy, a patrząc na wesoło strzelający ku górze płomień oraz na szary, gęsty pióropusz unoszącego się ku niebu dymu, — stroili faksy, wywracali koziołki i czekali aż się gajdoki upieką. I właśnie dymem ich ogniska odurzona mocno, królowa biedronek musiała lądować na czapce jednego z nich.

Ale oczy chłopięce wszystko widzą i wszystko dostrzegą. Zobaczyły też wielką biedronkę jak promenowała po małej chwili „udawania trupa" po całej czapie Wojtka, szukając punktu wyższego nad poziom do dalszego startu.

— Wej, wej, patrzta wiara, czy widzita jaka wielka patronka zleciała na myckę Wojtkowi? Widzita? — zawołał z uciechą wielką jeden z pastuszków.

Z wrzaskiem się zerwali:

— Gdzie, gdzie?...

— Wojtek, pokaż gdzie?

— Ach, jaka ładna!

— Ale jaka okropaśna! — wołali hurmem, cisnąc się dokoła Wojtka, który wolno zdjął czapkę, schwycił w palce biedronkę i położył ją sobie na dłoni.

Biedronka przewróciła się na grzbiet i ze strachu długo udawała trupa, ale chłopców tem nie zwiodła, bo zaczęli chuchać na otwartą rękę Wojtka, że w końcu czując ciepło na grzbiecie zagmerała nóżkami i zaczęła niemi przebierać na wszystkie strony, myśląc sobie przytem, że gdzie jest ciepło, tam nie może być niebezpieczeństwa.

Wojtek tymczasem usadził ją sobie na dłoni, którą wyprostował ku górze rozczapierzywszy wszystkie palice, a widząc że biedronka sunie żywo pod górę w poszukiwaniu najlepszego punktu do swego powietrznego startu, — zaczął śpiewającym głosem mówić:

— Patronka, fruknij do nieba, i przynieś mi kromkę chleba!

Powiedział to w głębokiem, nabożnem skupieniu poraz pierwszy i drugi i oto kiedy wymawiał tę swoją tajemniczą formułę poraz trzeci, biedronka rozpięła swe skrzydełka i frunęła w górę.

Z żalem, że odlatywała patrzeli za nią chłopcy, dopóki nie znikła w krasnych barwach zachodzącego słońcem przestworza.

— Ona ci tam chleba przyniesie, ino zaczekej głupi, — przemówił drwiąco najstarszy z nich, Wicek.

— Co, — mówisz że nie przyniesie? — ona napewno mi chleba przyniesie jeszcze dzisiaj, — stał przy swojem Wojtek.

— Wojtek, trzymej trombe, jak nie kcesz dostać w kalafe! Jak mówię że nie przyniesie, to nie! — upierał się Wicek.

— Sum trombe trzymej szudroku — z wrzaskiem się poderwał Wojtek.

Jak dwa koguty rzucili się na siebie i w końcu się o biedronkę pobili.

A biedronka naprawdę poszybowała ku niebu. Taką już dziwną misję powierzył dobry Pan Bóg temu małemu owadzikowi, taką dziwną moc dał patronce-biedronce, że mogła wzlecieć do nieba po chleb dla biednych ludzi.

Z początku bowiem nazywała się patronką, to znaczy że była u Boga osobistą orędowniczką ludzi ubogich i głodnych, którzy łaknęli chleba jak kania — dżdżu.

I Wojtuś był synem rodziców bardzo ubogich, głód im w chacie

KOLUMNA PLASTYKI



Teodor Gajewski *„Studjum"*



Franciszek Gajewski *„Mój Kąt Rodzinny" (ol.)*



Tadeusz Mokrzycki *„Fara" (akw.)*



Marjan Turwid *„Portret Mjr. K. P." (ol.)*

często dokuczał, gajdoki zwłaszcza na wiosnę się przejadały, a na chleb nie starczyło.

Kiedy wieczorem tego dnia, zmęczony i poraniony bójką o Bożą patronkę, wracał do domu poganiając batem stadko kóz, które stanowiły cały niewielki majątek jego ubogich rodziców, — nagle przyszło mu na myśl czy też w domu naprawdę zastanie, choćby kromkę chleba.

Myślał nad tem długo i na płacz mu się zbierać zaczęło, skoro sobie uprzytomnił, że Wicek może mieć rację, — nagle z zamyślenia tego wyrwał go jakiś łoskot i gwizd, ogląda się przeto i patrzy dokoła i widzi jak ze szumiącej dworskiej topoli, przed którą właśnie przechodził, pac! zleciał mu prawie pod nogi duży, rumiany bochenek chleba, który pokulał się pod jego stopy.

Schyla się szybko poń i podnosi migiem, żeby nikt nie widział. — Jaka pachnąca kukiełka — podziwia — pewnie wprost z niebieskiego pieca przez patronkę wyrzucona! —

Potem spogląda na topól z uczuciem podziwu i trwogi. Jakby coś na niej mignęło. W pierwszej chwili zdawało mu się, że ktoś na topoli siedzi, jakby sam syn dziedzicowy, który był obecny przy ich gorze, kiedy się pobili o patronkę, ale patrząc dłużej przekonał się że na drzewie nie było nikogo. —

— Napewno mi się zdawało — mruknął z przekonaniem — to była chyba patronka! —

Przycisnął rumianą kukiełeczkę do pazuchy, pod którą łomotało rozradowane chłopięce serce i nie oglądając się na kozy, popędził z warjackim okrzykiem wesela do chałupy.

LISTY Z REGJONÓW

Hallo! Tu mówi Leszno!

Nasze miasto urodziło się mimo wszystko pod szczęśliwą gwiazdą. Niegdyś opiekowali się niem możni Leszczyńscy, Sułkowscy, dziś, z powodu zmienionych warunków, ludzie szarzy, przeciętni i trudno nie uznać poważnych wyników tej opieki zarówno ongi (nie „ongiś!), jak i ninie. Leszno poza tem należy do tych nielicznych miast w Polsce, które ma ambicję i dzięki temu rwie naprzód, nie ustępując w wielu dziedzinach miastom nawet wojewódzkim. Niektóre kasuje bezapalacyjnie. Ale nomina sunt odiosa.

Piszę to bez przesady i z pewnego rodzaju regjonalną dumą. Mimo bolesnego podziału obywateli na dwa polityczne obozy, ruch umysłowy nie stoi w miejscu, lecz kipi i wrze od nadmiaru energji. Wystarczy powiedzieć, że w 20 tysięcznem mieście, jakiem jest Leszno, mamy 4 (wyraźnie: cztery) dzienniki, wychodzące mniej lub więcej regularnie około 3-ciej po poł (w tem jeden dziennik niemiecki), tu wychodzi piękny miesięcznik harcerski „Czuwaj“, obsługiwany wyłącznie miejscowemi siłami, tu drukuje się kapryśnie wychodzącą „Ziemię Leszczyńską“, tłoczy powieści, jak np. trylogję Zyg. Doleńskiego p. t. „Niezwykły pomysł dr. Anapesta“, dalej monografje, poezje, reportaże, liczne jednodniówki wojskowe, harcerskie i t. d.

Jak na małe miasto, to wcale dużo.

Z pośród organizacyj leszczyńskich wybiło się w tym roku na pierwszy plan Tow. Naucz. Szkół Średn. i Wyższych. Ono wystąpiło ze śmiałym projektem tak zw. Igrzysk Umysłowych, mających rywalizować z igrzyskami gimnastyczno-sportowemi, ono też zorganizowało Uniwersytet Powszechny (dwuletni kurs!), liczący przeszło 70 członków od lat 18-tu do 50-ciu z czubkiem.

Na polu szerzenia kultu poważnej muzyki możemy się pochwalić naprawdę niecodziennemi triumfami. Mamy bowiem aż 4 (wyraźnie: cztery!) orkiestry, akurat tyle ile dzienników, ale nie mają one charakteru politycznego. Dwie bowiem są wojskowe, jedna kolejowa i jedna Związku Rezerwistów. Graliśmy takie rzeczy, jak Mszę B-dur Haydna, Requiem Mozarta, urządziliśmy wieczór kompozytorski Nowowiejskiego,niedawno odegrano Sonety krymskie Moniuszki, a ostatnio odbył się wspaniały symfoniczny koncert orkiestry 55 pp. pod batutą mistrza Nowowiejskiego.

Odczyty popularno-naukowe, akademje, wykłady, pogadanki, kursy wszelakiego rodzaju, urządza się często i znów wyłącznie miejscowemi siłami.

Czasami tylko psuje harmonję jakiś przybłędny teatr objazdowy i to jedyna nasza bolączka. Ponieważ podobne „trupy“ uszczęśliwiają niezawodnie Gostyń, Wrześnię, Srodę, Koźmin czy Śmigiel, przeto warto na ten temat nieco poględzić. Może „Wici“ czytają dyrektorzy cygańskich zespołów! Niechże im więc wpadnie ten numer do ręki, niech go sobie przeczytają, by się poprawić i czegoś nauczyć.

Oto pewnego razu zawitała do nas operetka z Poznania a szumne, olbrzymie afisze zapowiedziały „Wiktorję i jej huzara“. Sala Hotelu Polskiego przepełniona. Jako skrzypek i miłośnik muzyki, poszedłem z żoną, by wypocząć nieco po trudach codziennego żywota. Co kwadrans dzwonek i po czwartym, t. z. o godzinę później, zaczyna się uwertura. Przy nędznym fortepianie siedzi dyrektor a obok niego rżnie skrzypek rzępoła. Kurtyna usuwa się na boki i rozpoczyna się widowisko...

Cierpliwi widzowie siedzą, bo zapłacili słono, muzykalniejsi wychodzą oburzeni, rezygnując z kilku złotych. O zwróceniu pieniędzy ani mowy.

Niejeden z nabranych słuchaczy, idąc do domu, powtarzał przemądre przysłowie: Cudze chwalicie... i zaprzysięgał się, że już nigdy nie da się zwieść szumną reklamą.

I niema złego, coby na dobre nie wyszło. Leszno wystarcza już samemu sobie, a jeśli ktoś grymasi, to jedzie raczej do Poznania, a nie pójdzie nawet za darmo na objazdowych kpiarzy i wydwigroszów.

Juljan Szpunar.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Eustachiewicz Tadeusz dr.

Młodzież wielkopolska na tle lat 1861—1864

Poznań 1932, str. 76.

W szeregu powstań polskich i walk o niepodległość dwa są momenty, z dziejami Wielkopolski związane: Rok 1848 i rok 1918. W dwóch innych, w roku 1831 i w roku 1863 uczestniczyła ona tylko pośrednio. Udzieliła pomocy Powstaniu Listopadowemu młodzież wielkopolska i ziemiaństwo, chociaż z wielką ze strony pruskiej kontrakcją. Ta sama solidarność była w r. 1863 i taka sama, ofiarna pomoc, choć w skutkach mniej ważna dla samych walk powstańczych. Interesujące te stosunki społeczeństwa zaboru pruskiego z Polakami w Królestwie na odcinku życia młodzieży przedstawił obecnie w ciekawej książeczce dr. T. Eustachiewicz.

W gorących latach przedpowstaniowych w atmosferze warszawskich manifestacyj i ciągłych krwawych ofiar, rosła w duszy młodzieży polskiej nienawiść do zaborców i hartował się jej patrjotyzm. O tem dochodziły słuchy do Wielkopolski i pod ich wpływem zapewne młodzież czterech ówcześnie istniejących tutaj gimnazjów (w Poznaniu, Lesznie, Trzemesznie i Ostrowie) zawiązuje Towarzystwo Narodowe, którego celem jest kształcenie swych członków w historji i literaturze polskiej. Cele to raczej wychowawczo-narodowe, na dalszym planie była ew. praca wśród ludu, a już trudno było myśleć o jakiejś walce politycznej z zaborcami. Organizacja jednak była zakonspirowana, dzieliła się na koła i miała komitet centralny, kolejno urzędujący w różnych gimnazjach. Działalność Tow. Narod. była bardzo ożywiona, w każdym z oddziałów uczestniczyła co najlepsza młodzież danego gimnazjum i wielu znaleźć tu można przyszłych działaczy i wybitnych później organizatorów życia Wielkopolski, hartujących tu w pracy wewnętrznej swój patrjotyzm i wyrabiających się w pracy społecznej. Już nawet myślano o rozszerzeniu Towarzystwa na Sląsk i Pomorze i nadzieje na przyszłość były najlepsze, gdy 8 listop. r. 1862 zarządzona została rewizja w alumnacie poznańskim, ówczesnej siedzibie Tow. i całej tej pracy policja poznańska położyła kres. Było to dzieło osławionego jej prezydenta, prowokatora Baerensprunga. Papiery Tow. dostały się również w ręce policji, z wyjątkiem statutu, który ukrył wtedy skutecznie młody Zygmunt Celichowski.

Po rewizji przyszło śledztwo również na prowincji, a procesy zakończone wyrokami, skazującemi oskarżonych najczęściej na więzienie, wlokły się jeszcze przez cały rok 1863, 1864 i 1865. Uzupełnieniem tej części badań Autora są też wspomnienia Z. Celichowskiego pt. „Tajne związki młodzieży gimnazjalnej 1857-1863“ (Dzien. Pozn. 1929 i odbitka), gdzie też znajduje się cały akt oskarżenia.

Druga część pracy dr. Eustachiewicza dotyczy już wypadków, zaszłych na terenie W. Ks. Poznańskiego podczas samego powstania, oraz „udział zbrojny“ w niem młodzieży wielkopolskiej! Zaczęło się w Ostrowie, burzą, wynikłą z powodu śpiewania przez uczniów „Boże coś Polskę“; wydalono za to 60-ciu z gimnazjum. Dalej posunęło się gimnazjum trzemeszeńskie, z którego uszło do powstania ok. 60-ciu uczniów, z tych zaś 10-ciu zginęło w walkach, kładąc swe życie na ołtarzu walk o niepodległość i dając dowód poczucia narodowej wspólności we wspólnej ofierze. Za to też gimnazjum w Trzemesznie zostało przez władze pruskie rozwiązane.

Poległo też kilku ostrowskich gimnazjastów. Z dwóch innych ośrodków, z Poznania i Leszna, mniej już pospieszyło z pomocą i mniej było już ofiar.

Autor tych dziejów oparł się na szerokiej literaturze, a przedewszystkiem na aktach szkolnych i policyjnych, dotyczących tych wypadków, a znajdujących się w archiwum Państwowem w Poznaniu. W dodatku podał również listę członków Tow. Narod. (według akt polic.).

St. Pomykaj.

BARBARA BUDERAWSKA:

ZMĘCZENIE

Było ciepło — było cicho — było ciemno —
a zmęczenie czarnem skrzydłem chwiało się nade mną.
Przez zamknięte szczelnie oczu klisze
wciąż widziałam jak się cicho i bez szmeru kołysze,
jak się zbliża, lub odchyla,
niby skrzydło, niby staroświecka mantyla.
W ustach miałam suchy, gorzki piasek,
ręce zmęczone wywczasem,
a serce?... Serce przepojone jednem słowem, jedynem:
—: Twojem imieniem... —

Alfred Jesionowski:

Przekłady biblijne Stanisława Helsztyńskiego

1. Księga Ozeasza — Września 1923 r., str. 49, Bibljoteka Wici Wlkp.
2. Kohelet — Poznań 1934, str. 54, Drukarnia Rolnicza.
3. Pieśń nad Pieśniami — Poznań 1934, str. 25, Drukarnia Rolnicza.

Przekłady biblijne stanowią najstarszą część twórczości artystycznej Stanisława Helsztyńskiego, i jeśli pominąć drobne wiersze drukowane w miesięczniku XX. Misjonarzy w Krakowie — to właśnie przekład biblijny (fragment Koheleta) jest debiutem literackim autora,przezeń wszedł autor w kontakt z Przybyszewskim, Hulewiczami i grupą poznańskiego „Zdroju".

Jak autor sam zaznacza w wstępie do „Księgi Ozeasza" impuls do tych poetyckich przekładów dały mu wykłady biblijne ks. dr. Michalskiego i interpretacja tekstów hebrajskich dokonywana na seminarjach biblijnych. Tak powstały kolejno tłomaczenia „Proroctwa Anusa", „Księgi Ozeasza", „Koheleta", „Pieśni nad Pieśniami", „Hioba" i Psalmów. Odrębność i czar poezji biblijnej w innych krajach w pełni doceniane — jakoś u nas większych ech nie wywołały. Owszem, znajdujemy w polskiej poezji liczne ślady ślady wpływów poezji biblijnej, natomiast artystycznych Przekładów Ksiąg Proroków, poza nielicznemi fragmentami różnych autorów, w całości dotąd nie posiadamy. Zdaje się, że tę dotkliwą lukę wypełnią dopiero przekłady Helsztyńskiego, z czego się ukazały trzy wyżej wymienione, a czwarty (Proroctwo Amosa) znajduje się w druku.

„Księgę Ozeasza" i „Koheleta" poprzedził Helsztyński obszernymi, wyczerpującymi wstępami, w których czytelnika zaznajamia z autorami, tłem, na którem utwory powstały, genezą i wyjaśnieniami niezbędnemi do zrozumienia przekładów. Wstępy te, napisane doskonałą prozą — są poprostu studjami, sumiennemi i dokładnemi i nawet w oderwaniu od przekładów posiadają swą wartość naukową i artystyczną. Niejednokrotnie żałowałem, czytając „wstępy" Helsztyńskiego (ostatnio znakomite studjum o Whitmanie poprzedzające tłomaczenie Napierskiego 75 poematów Whitmana) że twórca sonetów regjonalnych nie daje nam jakiego regjonalnego utworu prozą. Sądzę, że taki utwór odsłonił by nam w pełni Helsztyńskiego artystę. — Ale wracajmy do przekładów!

Na genezę „Księgi Ozeasza" wpłynęły zarówno nieszczęścia narodowe po śmierci Jeroboama jak i zdrada poety przez ukochaną żonę. I tak naprzemian biada nad swym nieszczęsnym losem opuszczonego małżonka, opiewa swą miłość, swe katusze erotyczne, łącząc je z najsilniejszemi wyrazami oburzenia i gróźb w kierunku zdradliwej małżonki i prośbami o powrót— to znów przypomniawszy sobie klęskę narodową pomstuje na panujące bezprawie, wylicza grzechy i nieprawości niegodnych kapłanów i obłąkanego ludu, nawołuje do naprawy, grozi, wymyśla, gani wszeteczpictwo, zwołuje gniew Boży na bałwochwalców i rozpustników.

Oto — jakie słowa wyrywają mu się z piersi, kiedy go mażonka opuściła:

„Zwołajcie sąd, zwołajcie sąd,
na matkę sąd zwołajcie.
Nie mą jest żoną, nie jam jej mąż.
By raz pozbyła z lic chytrości
i zdrady z piersi biało-krągłych,
rozbiorę ją do naga,
do naga, jak w dniu narodzenia,
przyrównam do pustyni,
do ziemi czarnej, nierodzajnej,
słonecznych ros spragnionej — —"

Wypominając jej swe dobrodziejstwa, grożąc, zaklinając — pragnie za wszelką cenę odzyskać niewierną, a odzyskawszy:

„...rzekł do odzyskanej:
Nie grzesz już więcej, nie cudzołóż,
nie tęsknij za grzechami;
jam jeden jest twym mężem,
tyś jedna mi niewiastą."

„Utwory luźne" poświęcone są nieszczęściom narodowym. Jeśli Helsztyński Ozeasza przyrównuje do Skargi — to nie ma w tem przesady. Natchniony poeta wydobywa istotnie z siebie potęgę słowa, posługuje się nim jak biczem, jak łzą, jak pieszczotą. Drobne usterki nie mogą zaważyć na pięknie całości przekładu. Helsztyński — poeta włożył tu dużo z siebie.

W kilka miesięcy po „Księdze Ozeasza" wydał Helsztyński następny przekład, mianowicie „Koheleta", którego fragment i przedmowę drukował w roku 1919 w VII tomie Zdroju (3/4, 5/6).

Kohelet, autor „Króla, zapisków Mędrca i Ucznia", to zupełnie odrębny temperament od Ozeasza. „Kohelet widzi relatywność wszechrzeczy, nędzę życia, zagadkę śmierci, brak interwencji boskiej o bieg świata, nie wyprowadza wszakże wniosków: moralność złuda, nieśmiertelność sen, Bóg mara. ...Prawdziwy Hamlet ery przedmesjaszowej"

„Nie mędrcem, filozofem, pesymistą, poetą, żydem palestyńskim, wyznawcą tej czy owej grupy religijnej, lecz synem człowieczym, człowiekiem w pełnem tego słowa znaczeniu był Kohelet."

Esencja filozofji Koheletowej zawarta jest w „Królu":

„Marność, marność, wszystko marność!
Jakiż zysk z trudu ma człowiek
z męki swej krwawej pod słońcem?

Trzeba więc z życia brać, co się wziąć da:

„Co zapragnęły oczy,
to i wzięły.
Żadnej uciechy nie wzbroniłem sercu.
Zwoliłem rwać kwiat każdy
w łąk kobiercu.
Wdźięk rozkoszował mnie uroczy —
uciecha, rozkosz — to mój dział:
cóżbym innego z życiał miał?

i dalej:

„Najlepiej jeść i pić,
w dostatkach, w szczęściu żyć,
używać, co Bóg poda.
To pracy jest nagroda."

Mnóstwo sposobności do rozważań nastręczają „Zapiski mędrca" (częśc II Koheleta), aforyzmy, maksymy, świeże jak maksymy Kochefoucaulda, tylko zaprawione duchem innym, o nastawieniu bardziej materjalistycznem.

Doskonały przekład Helsztyńskiego pozwala nam rozkoszować się tą dziwną poezją, tak bardzo „inną" duchem, tak nam bliską równoczesnością poglądów, poezją tak bardzo „ludzką"

* * *

Właśnie co wydanej „Pieśni nad Pieśniami" nie poprzedził tłumacz wstępem. Bo i poco? Tu tekst każdą literką mówi sam za siebie. Cóż za poezja! Wprost prawdopodobnem wydawać się nie chce, że coś podobnego istnieje — a myśmy tego nie znali. Nie mam niestety możności sprawdzenia czy i kto u nas tłomaczył „Pieśni nad Pieśniami", jakie są różnice pomiędzy ewtl. dawniejszemi przekładami — a tem. To jedno jest pewne — że przekład Helsztyńskiego jest znakomity. Ale co tu długo silić się na określanie stopnia piękności przekładu. Sprawdźmy sami.

„Piękna jesteś, przyjaciółko moja,
zaiste, piękna.
Z poza osłony wyglądają
twe oczy jak dwa gołębie,
włos twój przypomina
stado kóz,
zstępujących z gór Gilladu,
a zęby rząd owiec,
bliźniaczki są ząb w ząb,
nie brak żadnego.
Wargi twe jak taśma z karminu,
usta twe
narzędzie mowy,
czarowne
i skroń jak przekrój granatu.
Wieżą dawidową twa szyja,
wieżą — zbrojownią,
na której wojenny zawisnął oręż.
Dwie twoje piersi
jak dwie młode sarenki,
bliźnięta
żerujące skroś lilij.

Trzeba rezygnować z dalszych cytat bo trzebaby „Pieśń" całą przepisywać. Naprawdę dumni być możemy, że posiadamy to arcydzieło literatury światowej, tę najbardziej znaną poezję żydowską w tak pięknym, pełnoartystycznym przekładzie.

Poczuwałem się do obowiązku zwrócenia uwagi czytelników — na wyżej wymienione przekłady w formie najprostszej — i bardziej niż kiedykolwiek żałuję, że nie posiadam umiejętności analizowania formy, wyczuwam całe jej piękno — a trudnoby mi było uwydatnić fachowo — jakie pierwiastki się na nie składają, uwypuklić mistrzostwo przekładów. Powinien ktoś kompetentny(może p.Czernik?) zabrać się do tego. Helsztyński w pełni zasłużył na to, by ocenić artyzm przekładów należycie, szczególnie z punktu widzenia techniki poet. przekł.

KRONIKA

Z Poznania

Tegoroczna praca artystyczna i kulturalna poznańskich teatrów (Teatr Wielki, Teatr Polski) zasługuje na szczególną uwagę. Niemała w tem zasługa ich kierowników: Dyr. Latoszewskiego i Dyr. Boelkego oraz współpraca wszystkich odtwórców — czego owocem jest naprawdę całość zawsze wzorowa, a czasem nawet imponująca. Nic też dziwnego, że teatry nie mogą skarżyć się na brak zainteresowania i poparcia ze strony publiczności.

W ostatnich tygodniach Teatr Wielki wystawił operetkę *„Wiedeńską krew"* na tle najpiękniejszych walców Straussa, zebranych przez wiedeńskiego muzyka Müllera, a wplecionych w zgrabną komedję z epoki wiedeńskiego kongresu. Operetkę tę, której urok leży w muzyce straussowskiej oraz w wystawie dekoracyjnej i baletowej — Teatr Wielki wystawił b. starannie. Dekoracje Szpingiera oraz balet, nadzwyczaj efektowny i wystawny w układzie Stalkiewicza dały wspaniałe tło całości.

Z solistów na szczególną pochwałę zasłużyli sobie: Olga Olgina, która nietylko ślicznie śpiewała, ale pozatem sprawiła miłą niespodziankę publiczności, grając w II akcie Fantasie Impromptu Chopina, Kaupówna, jako baletnica zawsze pełna życia i wnosząca na scenę wiele słonecznej pogody, Musielewska pełna wdzięku w roli modystki Pepi — a z panów Raczkowski, Warchalewski, Gruszczyński oraz Kaden i Sendecki, zawsze pełni humoru i temperamentu.

W 10-letnią rocznicę śmierci jednego z najwybitniejszych twórców operowych Pucciniego — Teatr W. wznowił jedno z najpiękniejszych jego dzieł: „Cyganerję".

Niezwykle intenzywnie w ostatnich tygodniach pracował Teatr Polski. Wystawił ładne i wartościowe nowości. *Passeur'a: Kobieta, która kupiła sobie męża*, sztukę w 3 aktach, *Kiedrzyńskiego: Kobieta i jej tyran* oraz *Dobrzańskiego: Żołnierz królowej Madagaskaru.* Najsłabiej zareagowała publiczność pozn. na sztukę Passeur'a, jakkolwiek utwór to wartościowy i ciekawy — ze względu na poruszony w niej problem. Elzbieta Fontanelle — panna 30-kilkoletnia pragnie wyjść zamąż. Gdy wreszcie celu swego dopięła, spowodu pewnych stanów zaburzeń psychicznych wynikających z jej wieku — mąż jej od niej się odsuwa — co staje się powodem jej samobójstwa. — Elzbietę grała nowoangażowana p. Małyniczówna, artystka b. inteligentna, która rolę oddała bardzo przekonywująco. W roli Borelli wystąpiła p. Ludwiżanka. Świetnie zagrali scenę transakcji pieniężnej w akcie II. Noskowski i Korecka.

Z nowości polskich usłyszeliśmy prapremjerę — komedję *Kiedrzyńskiego: Kobieta i jej tyran.* Komedja ta przedstawia dzieje narzeczeństwa właścicielki fabryki „Siew" Ewy Berlicz i dyr. tej fabryki Olszyńskiego. Osią komedji jest intryga uknuta przez stryja Ewy — Walerego, który jaknajprędzej chciałby widzieć na ślubnym kobiercu — swoją bratanicę. I to jest powodem, że Walery wysyła do Ewy studjującej zagranicą — anonim, donoszący jej, że Olszański romansuje z jej biuralistką, Zuzanną. Ewa otrzymawszy anonim — wraca do domu, zrywa z narzeczonym i wypowiada mu posadę w fabryce. Jednak pod wpływem namów przyjaciółki swej, Sabiny, dawnej narzeczonej Walerego, Ewa godzi się z Olszyńskim, pod warunkiem, że Olsz. przyzna się do zdrady. I Olszyński, człowiek niewinny, przyznaje się do zdrady, której w rzeczywistości nigdy nie popełnił. Akcję tę urozmaica historja małżeńska majstra fabrycznego Graduły oraz nieszczęśliwa miłość sekwestratora skarbowego, Kąkola. Komedję tę wystawił Teatr Polski — bardzo starannie. Doskonałą pod każdym względem była Ludwiżanka, w roli Ewy — również jej narzeczony Kierczyński. Biuralistkę, Zuzannę zagrała z wdziękiem p. Niedziałkowska. Doskonałym starym kawalerem — Walerym był Noskowski, który wraz z narzeczoną swoją Sabiną — Korecką wniósł wiele humoru i pogody do komedji. Dobre sylwetki dali: Ziejewski — sekwestratora skarbowego, Korecki — mistrza fabryczn.

Całość wypadła b. udatnie. Niemało kultury artystycznej wnoszą w życie muzyczne Poznania koncerty symfoniczne w Teatrze Wielkim. Jednym z najpiękniejszych był koncert z udziałem pianisty Drzewieckiego, który brawurowo odegrał koncert fortepianowy Prokofjewa, a nadzwyczaj misterne — impresjonistyczne utwory Debussy'ego. Orkiestra pod batutą Nowowiejskiego odegrała znaną symfonję IV Brahmsa oraz Suitę górnośląską Madeji — ilustrującą ludowe zwyczaje górnośląskie. — Solistą ostatniego koncertu był pianista krakowski W. Łabuński, który, odegraniem „Fantazji polskiej" Paderewskiego okazał się wybornym pianistą, panującym pewnie nad instrumentem. Orkiestra pod dyrekcją T. Mazurkiewicza odegrała: Czajkowska „Wojewoda", Karłowicza „Epizod na maskaradzie" oraz ciekawy utwór Anglika — Elgara „Polonia". Ostatni ten utwór to wiązanka niejako polskich pieś i narodowych, zakończona hymnem narodowym.

Wreszcie na zakończenie krótkie sprawozdanie z czwartków literackich. Niezmiernie ciekawy był odczyt J. Kollera n. t. *Pomniejszyciele olbrzymów czy bronzownicy*, w którym prelegent omówił stosunek krytyki literackiej do twórcy i jego dzieła, przedstawił zapatrywania W. Feldmanna oraz Boy'a Żeleńskiego. Wniosku konkretnego prelegent nie wyciągnął, uczynił to jeden z mówców w dyskusji, zwracając uwagę przedewszystkiem na badanie źródeł twórczości artystycznej danego pisarza.

Na ostatnim czwartku literackim wygłosił odczyt prof. *Ułaszyn* n. t. *„Co to jest język literacki?".* W odczycie swoim prelegent określił istotę języka „ogólnomówionego" oraz jęz. literackiego. W dyskusji, w której zabierali głos por. Skorupiński, Berkan i J. Stein — ten ostatni szeroko omówił powstanie jęz. literackiego, co zbyt pobieżnie potraktował prelegent. *W. F.*

Czasopisma nadsyłane

w r. 1934

„Życie Sztuki" — Rocznik. Warszawa. Administracja i skład gł. w kasie im. Mianowskiego. Redaktor Z. L. Zaleski.

„Pion" — Tygodnik. Warszawa. Aleja Róż 2. Red. Włodzimierz Antoniewicz.

„Zaranie Śląskie" — Mies. Cieszyn, Stalmacha 14. Redakcją kieruje Komitet.

„Wieś Jej Pieśń" — Miesięcznik. Naprawa K. Jordanowa. Red. Ant. Wł. Mirek.

„Kamena" — Miesięcznik. Chełm Lubelski. Redaktor A. K. Jaworski.

„Życie Literackie" — Mies. Poznań. Pałac Działyńskich. Red. Wojciech Bąk.

„Akcja Literacka" — Mies. Warszawa. Chłodna 8 m 1. Red. Wł. Korab Lamparski.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Wreśnia, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.

